Magiczny Kraków

Krakowscy Ukraińcy – ukraińscy krakowianie. Monika Hałaś

2023-12-13

Skąd pochodzą? Czym się zajmują? O czym marzą? W kolejnej rozmowie przedstawiamy sylwetkę Moniki Hałaś – tłumaczki, stypendystki Komisji Europejskiej, absolwentki Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego, wolontariuszki zakochanej w Ukrainie.

KRAKÓW OTWARTY NA ŚWIAT: Skąd Pani pochodzi?

MONIKA HAŁAŚ: Jestem w połowie Ukrainką, a w połowie Polką. Albo na odwrót. Rodzina mamy pochodzi ze Lwowa, a ojciec ze Śląska. Chociaż sam także ma wschodnie korzenie. To właśnie odwiedzając krewnych we Lwowie poznał moją mamę. Byłam wcześniakiem, na co ukraińskie szpitale nie były specjalnie przygotowane, więc rodzice zdecydowali się na przyjazd do Polski i urodziłam się już w Bytomiu. Tam kształciłam się od przedszkola do liceum, chociaż bardzo często odwiedzałam ukraińską rodzinę. Moja kochana babcia ze Lwowa zmarła w 2019 roku i na swój sposób cieszę się, że nie musiała przeżywać najpierw pandemii, a potem wojny…

Poszłam chyba po „żeńskiej linii” mojej rodziny, bo chociaż wychowywałam się w Polsce, to emocjonalnie bardziej identyfikuję się z Ukrainą. Było tak odkąd pamiętam. W przedszkolu i szkole zawsze podkreślałam, że jestem w połowie Ukrainką, co w tamtych czasach było postrzegane jak niesamowita egzotyka. Faktycznie, te 20 lat temu Ukraińców w Polsce nie było tak wielu jak dzisiaj. Mniejsza była emigracja zarobkowa, bo wyjazd do Polski wiązał się z szeregiem wymagań formalnych, np. obowiązkiem posiadania wizy, zezwolenia na pracę itp. Jako pół-Ukrainka wzbudzałam więc sporą sensację i zainteresowanie rówieśników.

Rodzicom udało się wychować Panią dwujęzycznie i dwukulturowo?

MH: Gdy moi rodzice się poznali, mama jeszcze nie znała polskiego. Więc zarówno z ojcem, jak i ze mną rozmawiała po ukraińsku. Tata z kolei mówił po polsku i jako dziecko długo byłam przekonana, że ukraiński i polski to nie są różne języki, ale raczej odmiany tego samego języka właściwe dla kobiet i mężczyzn. Dziewczynki mówią „po ukraińsku”, chłopaki – „po polsku”. Pamiętam rodzaj szoku, gdy uświadomiłam sobie, że to nie jest tak, że Polacy i Ukraińcy komunikują się ze sobą bez problemu. Dla mnie, znającej oba języki, to było przecież „oczywiste”.

Żyłam i kształciłam się w Polsce, więc z czasem język polski wyszedł u mnie na prowadzenie, ale ponieważ zawsze byłam typem „kujona”, to sama aktywnie zabiegałam o to, aby ukraiński znać jak najlepiej. Gdy w zerówce uczyłam się liter polskiego alfabetu, moja lwowska babcia w piaskownicy kreśliła mi litery cyrylicy. Przywoziła mi również i czytała ukraińskie książki, bawiła się ze mną i rodzeństwem w teatrzyk. Do dziś pamiętam maskotkę „Lisiczka Siostrzyczka” – bohaterkę ukraińskich ludowych bajek – którą babcia specjalnie dla mnie zamówiła w Lwowskim Teatrze Lalek. Babcia była wielką patriotką i znakomicie wykształconą kobietą. To ona w dużej mierze zaszczepiła mi zainteresowanie ukraińską kulturą i językiem.

Poza tym w naszej rodzinie zawsze obchodziliśmy podwójnie najważniejsze święta – Boże Narodzenie, Wielkanoc, ale także np. Mikołajki czy imieniny, które w Ukrainie obchodzi się nie mniej hucznie niż urodziny. Rówieśnicy często mi tego zazdrościli – to w końcu dwa razy więcej prezentów!

Wybór ścieżki kształcenia był związany z zainteresowaniem Ukrainą?

MH: Raczej z zainteresowaniem językoznawstwem jako takim. Wybrałam studia na kierunku filologia angielska, bo mój ukraiński nie posiadał aż takich braków, które wymagałyby lat studiów. Aby wzbogacić słownictwo wystarczyło np. czytać książki czy specjalistyczne opracowania – jak to zresztą zawsze robią tłumacze, przygotowujący się do przekładów w konkretnych dziedzinach. O tym, aby zostać tłumaczem, myślałam od dziecka, co może być oczywiście związane z wychowaniem w rodzinie dwujęzycznej, ale chyba też z ogólnym zainteresowaniem nauką o języku i przekładoznawstwem. Pamiętam, że koleżankom z przedszkola marzyła się raczej „kariera" księżniczek, piosenkarek, aktorek… Patrzyły na mnie z niezrozumieniem, ale nigdy nie żałowałam swojego wyboru. W tamtym czasie angielski zaczął torować sobie drogę jako *lingua franca* w Europie, więc z myślą o przyszłości zaczęłam na poważnie uczyć się tego języka w wieku 8 lat. Przyznam, że nie sądziłam, że językiem potrzebnym i pożądanym na rynku tłumaczeń stanie się również ukraiński.

Dla poznawania nowych języków kluczowe jest, aby lubić się uczyć, a ja zawsze to lubiłam. Na studiach magisterskich na Uniwersytecie Śląskim studiowałam filologię angielską z językiem niemieckim. Wyjeżdżając na wymiany w ramach programu „Erasmus", miałam okazję nauczyć się hiszpańskiego. Ukończyłam także 3 inne specjalistyczne kursy w zakresie tłumaczeń – m.in. języka rosyjskiego, z którym także byłam osłuchana od małego, choćby z mediów. Jeszcze kilka lat temu na porządku dziennym było to, że w ukraińskiej telewizji leciały programy, filmy czy reklamy w języku rosyjskim.

To zmienia się dzisiaj, gdy Ukraińcy walczą także z językiem rosyjskim?

MH: W dużej mierze tak. Ukrainizacja kultury i życia społecznego jest teraz gorącym tematem. Za koniunkturą polityczną stara się nadążyć m.in. przemysł audiowizualny, który przestawiając się na produkcję w języku ukraińskim musi zatrudniać ludzi poprawnie posługujących się tym językiem. A z tą poprawnością – jak dobrze wiemy – bywa różnie. Jako tłumacz obserwuję wzrost znaczenia ruchów nawołujących do tzw. „powrotu do korzeni" języka ukraińskiego, ale w praktyce często oznacza to szukanie na siłę zamienników dla rosyjskich słów, które się w języku ukraińskim już zakorzeniły. Nie jestem przekonana, aby to była właściwa droga do przywrócenia językowi ukraińskiemu właściwego statusu. Trzeba pamiętać, że różne regiony Ukrainy posługują się ukraińskim w różny sposób – często mają swoje naleciałości językowe i regionalizmy. Pod względem powierzchni Ukraina jest największym krajem Europy, więc różnice te są niekiedy spore, a przy tym brakuje instytucji odpowiadających za standaryzację języka.

Jak trafiła Pani do Krakowa?

MH: Sprowadziłam się tutaj na jesieni ubiegłego roku w celach zawodowych i edukacyjnych. Komisja Europejska przyznała mi stypendium na studia podyplomowe w zakresie tłumaczeń, a Katedra Przekładoznawstwa UJ należy do sieci EMT (European Master's in Translation) i jej dyplom uprawnia do podejścia do egzaminów na tłumacza akredytowanego w Europarlamencie czy w Komisji Europejskiej. Tylko trzy uczelnie w Polsce dają możliwość uzyskania takiego dyplomu, a na Uniwersytecie Jagiellońskim można to było zrobić w rok, co dodatkowo mnie

zachęciło. Przyjechałam więc do Krakowa uczyć się i pracować – nie miałam jeszcze nawet czasu na zwiedzanie czy lepsze poznanie tego miasta.

Jak wypada konfrontacja marzeń o zawodzie tłumacza z Pani pracą? Co cechuje dobrego tłumacza? Doskonała znajomość języka obcego?

MH: Ta nie wystarczy. Potrzebne są dodatkowe predyspozycje, które nie każdy posiada. Na przykład moja mama jest *native speakerem* ukraińskiego i rosyjskiego (bo w tym języku przeszła edukację za czasów ZSRR), ale ja szybciej i lepiej przetłumaczę coś z ukraińskiego na rosyjski niż ona.

Bardzo ważne jest rozdzielenie tłumaczeń na ustne i pisemne – to dwie różne umiejętności i nie każdy tłumacz realizuje się w obu. Są doskonali tłumacze tekstów, którzy za żadne skarby nie wezmą się za tłumaczenie ustne. Bywa też odwrotnie, gdy świetny tłumacz konferencyjny nie poradzi sobie np. z tekstem literackim. W języku angielskim mamy rozgraniczenie *translation* i *interpretation.* To samo jest w języku niemieckim czy hiszpańskim. Tłumacz ustny powinien mieć zdolności prospołeczne, interpersonalne, powinien być komunikatywny. Tłumacze pisemni mogą (oczywiście nie muszą!) być stereotypowymi molami książkowymi, którzy pracują w ciszy i spokoju, mogąc sobie pozwolić na komfort dłuższego zastanawiania się nad właściwym słowem czy frazą. Nie każdy tłumacz pisemny potrafi pracować szybko, szczególnie jeżeli ma skłonności perfekcjonistyczne. Ja osobiście przy tłumaczeniach pisemnych za dużo i za długo „rozkminiam" i w tłumaczeniach ustnych realizuję się lepiej. Lubię kontakt z ludźmi, lubię widzieć efekty swojej pracy. Budujące i satysfakcjonujące jest dla mnie to, że umożliwiam ludziom komunikację i porozumienie.

Inną ważną cechą tłumacza powinno być obycie w różnych dziedzinach. Oczywiście przymierzając się do tłumaczenia konkretnego spotkania, konferencji czy dokumentów znamy temat i przygotowujemy się pod kątem specjalistycznego słownictwa. Ale czasami niespodziewanie pojawia się nawiązanie do innego tematu – np. niedawnego meczu piłki nożnej - i dobrze jest być zorientowanym w tym, co się dzieje w świecie. Wyzwaniem jest tłumaczenie żartów, bo te o charakterze słownym są często nieprzetłumaczalne. Wybiegiem, na który tłumacz symultaniczny może sobie pozwolić w skrajnej sytuacji – ale tylko raz! - będzie tekst: „Pan prelegent powiedział teraz dowcip, uprzejmie proszę się zaśmiać". Ogólnie trzeba po trochu znać się na wszystkim – prawie, medycynie, ekonomii, chemii, technologiach… I oczywiście mieć motywację do ciągłego dokształcania się.

Przy takim podejściu zawód tłumacza daje dużo frajdy, bo mamy szansę na ciągły rozwój – poznawanie rzeczy nowatorskich i ważnych. Pamiętam np. jak interesujące było dla mnie trzymiesięczne zlecenie w fabryce szkła, gdzie mogłam kompleksowo poznać cały proces produkcji. Praca w zakładach przetwórstwa żywności, na konferencji poświęconej chirurgii plastycznej, na konferencji prawniczej – z każdego zlecenia wynoszę nowy zasób wiedzy z danej branży i jest to fascynujące!

Ważna jest chyba także umiejętność pracy pod presją czasu?

MH: Zdecydowanie. Obecnie w większości realizuję tłumaczenia symultaniczne i wśród

tłumaczy konferencyjnych to jest preferowany tryb pracy. Nie musisz dużo zapamiętywać, skupiasz się tylko na bieżącym zdaniu. Porównuję to do skoku do zimnej wody – na początku jest moment oszołomienia i dyskomfortu, ale gdy po chwili się przyzwyczaisz, pływa się przyjemnie. Można tu także przywołać teorię przepływu: gdy pracujesz nad wyzwaniem, które jest duże, ale nie ponad twoje siły i skupiasz się w całości na swoim zadaniu, to jego realizacja daje dużą satysfakcję. Tak jest np. w sporcie, ale także w pracy tłumacza.

Przy tłumaczeniu konsekutywnym wyzwaniem jest zapamiętanie dłuższej treści, zrobienie składnych notatek i zreferowanie ich w sposób treściwy, ale wyczerpujący. Wypowiedzi muszą być precyzyjne i krótkie, aby niepotrzebnie nie przedłużać spotkania. Tłumacząc w taki sposób, trzeba zapamiętać wszystko, ale szybko dokonać decyzji, jaka treść jest mniej istotna i można ją pominąć.

Umówić się na spotkanie z Panią nie było łatwo, więc na brak zleceń nie może chyba Pani narzekać?

MH: Zarówno w Krakowie, jak i w innych miastach pracy dla tłumaczy konferencyjnych jest obecnie bardzo dużo. Na początku kariery zawodowej realizowałam głównie tłumaczenia polsko-angielskie, na języki wschodnie nie było takiego zapotrzebowania. Sytuacja zmieniła się w 2014 roku, po inwazji Rosji na Krym i Donbas. Już wówczas funkcjonowałam w bazach jako tłumacz z językiem ukraińskim i rosyjskim i momentalnie zaczęłam dostawać zlecenia właśnie na takie tłumaczenia. Dużo pracowałam też na zasadach wolontariatu, pomagając różnym instytucjom i organizacjom pozarządowym. Tłumacze z ukraińskim zaczęli być szczególnie potrzebni po rozpoczęciu w Ukrainie wojny na pełną skalę. Jeżeli wcześniej były organizowane wydarzenia z udziałem Ukraińców, Rosjan, Białorusinów i dopuszczalne było zapewnienie tylko tłumaczenia rosyjskiego, to od czasu wybuchu wojny organizatorzy wydarzeń z udziałem Ukraińców bardzo pilnują językowej poprawności. Liczba wydarzeń poświęconych Ukrainie także się zwiększyła.

Szczególny deficyt na rynku jest odczuwalny właśnie wśród tłumaczy z ukraińskim i angielskim. Rozumienie *natiwów* angielskiego, mówiących często z różnym akcentem, wymaga sporo praktyki. Dlatego tłumacze z ukraińskim i angielskim mają obecnie najwięcej zleceń i stosunkowo najwyższe zarobki. Zdecydowanie polecam tę pracę wszystkim planującym edukację w zakresie filologii – to całkiem perspektywiczny kierunek dla rozwoju kariery. Po wojnie – miejmy nadzieję już wkrótce – czeka nas przecież proces odbudowy Ukrainy i jej akcesji do UE, a także nawiązywania kontaktów biznesowych na skalę europejską i ogólnoświatową. Tłumacze będą potrzebni!

Pani docelowo planuje pracę w strukturach unijnych?

MH: Praca tłumacza w strukturach UE wymaga zdania egzaminów akredytacyjnych. Aby móc podejść do takiego egzaminu, wymagany jest dyplom uczelni spełniającej europejskie standardy i dyplom taki właśnie uzyskałam na UJ. Teraz czeka mnie przygotowanie do samego egzaminu. W ubiegłym roku, przebywając w Brukseli na stażu, mogłam tam potłumaczyć na wolnym rynku i poznać instytucje unijne. Akredytacja tłumacza nie jest np. potrzebna do pracy w Komitecie Regionów. Przede mną jeszcze długa droga, gdyż do wysokich instytucji unijnych biorą tylko najlepszych. Ale zrobiłam już pierwszy krok i jestem zdeterminowana, aby iść dalej.

Tymczasem mogę pomieszkać w Krakowie, gdzie pracy dla tłumaczy jest dużo.

Ukraińcy przyjeżdżający do Krakowa mają tutaj szansę na rozwój? A może w drugą stronę – czy Ukraińcy są szansą na rozwój Krakowa?

MH: Na Kraków nie patrzę jeszcze jak miejscowa, gdyż za krótko tutaj mieszkam. Ale zawsze – jeszcze w czasach szkolnych – podobało mi się to miasto, którego galicyjski klimat przypomina mi Lwów. Narracja o ścieraniu się różnych kultur – polskiej i ukraińskiej – nie bardzo się chyba sprawdza w Krakowie, który zawsze był wielokulturowy i który, wraz ze wspomnianym Lwowem, tworzył ten samy obszar kulturowy Galicji Wschodniej. Jasne, że Ukraińców przyjechało do Krakowa bardzo dużo, ich język i kultura są mocno obecne w przestrzeni publicznej, ale mnie osobiście to nie przeszkadza. Cieszę się, że ci ludzie mogli znaleźć tutaj schronienie. Zawsze podkreślałam swoją ukraińskość, a od początku wojny poczułam także ogromną dumę z moich polskich korzeni. Bo wsparcie i postawa, którą wykazali się w stosunku do Ukrainy Polacy była naprawdę wzruszająca i bohaterska. Mówi się, że Polacy nic, tylko narzekają, ale gdy zaczęła się wojna, nie było narzekania – wszyscy byli zwarci i gotowi do działania!

Jasne, że teraz, gdy wojna trwa kolejny rok, wychodzą konflikty i wzajemne zmęczenie. Bo zmęczeni są nie tylko Polacy, ale także Ukraińcy, którzy nie do końca sobie radzą, a nie mogą wrócić do domu. W samej Ukrainie ludzie niekiedy też są zmęczeni uchodźcami z okupowanych terenów, a uchodźcy ci są z kolei sfrustrowani. Ale to jest normalne. Cieszy mnie jednak generalny pozytywny stosunek do Ukraińców w Krakowie. Witać, że miasto – na poziomie urzędów, instytucji, placówek – podejmuje wysiłki, aby wychodzić naprzeciw potrzebom Ukraińców i pomagać im zaadoptować się do tutejszych warunków. Wspaniale zachowują się szkoły, które mocno wspierają ukraińskie dzieci. Placówki kulturalne organizują wiele wydarzeń i spotkań. Widać, że Polacy traktują obowiązki „dobrego gospodarza” bardzo poważnie.

Na początku wojny Pani również była zaangażowana w działalność dobroczynną. Na czym polegała?

MH: To był jeden z powodów mojego przyjazdu do Krakowa. Organizowaliśmy serię warsztatów dla dzieci-uchodźców, mających na celu ekspresję emocjonalną i uspokojenie poprzez działalność artystyczną. Ta działalność była potrzebna mnie samej, gdyż cały czas miałam wyrzuty sumienia, że niedostatecznie pomagam. O wybuchu wojny dowiedziałam się lecąc na staż do Brukseli i chociaż przez pół roku pobytu za granicą działałam jak „call centre” i tłumaczka-wolontariuszka, to wciąż miałam poczucie, że powinnam robić więcej. Sumienie uspokoiłam dopiero biorąc się za tworzenie Klubu Artystycznego, który miał pomagać ukraińskim dzieciom z traumą wojenną.

Projekt wymagał – z jednej strony – poszukiwania finansowania i współpracy z kanadyjską organizacją, która je zapewniła; z drugiej – współpracy z różnymi instytucjami, które udostępniały pomieszczenia na zajęcia. Trzeba było znaleźć terapeutów i prowadzących zajęcia, komunikować się z dziećmi i ich rodzicami po ukraińsku lub rosyjsku. Koordynacja tych działań również wymagała biegłości w przynajmniej 3 językach. Organizowaliśmy bezpłatne zajęcia plastyczne, muzyczne, rytmiczne i teatralne w gmachu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej na

ul. Rajskiej i w Centrum Kultury Podgórza oraz zajęcia taneczne w osobno wynajętej sali. Projekt trwał do końca roku szkolnego (niestety nie otrzymaliśmy finansowania na jego kontynuację) i wzięło w nim udział ponad 1000 unikalnych uczestników. Ta inicjatywa była dla mnie źródłem dużego spełnienia, ale także bólu, gdy miałam bezpośrednią styczność z ofiarami wojny, słuchałam ich dramatycznych relacji.

Wiem, że później podobne projekty były organizowane w Krakowie przy wsparciu finansowym UNICEF czy Project Hope. Niestety tam również finansowanie jest na wyczerpaniu. I to jest rzecz, która szczególnie niepokoi, gdyż takie działania – szczególnie skierowane do dzieci – są bezwzględnie potrzebne. Musimy się niestety nastawić na to, że będą do nas przybywać kolejni uchodźcy potrzebujący pomocy. Ktoś wróci do domu, ale ktoś dopiero dwa lata od wybuchu wojny zdecyduje się na wyjazd do Polski – bo np. zbombardowali mu dom. Tak było np. po wysadzeniu elektrowni i powodzi w Nowej Kachowce. Wciąż są potrzebujący, a wojna powszednieje i ludzie mają coraz mniej chęci do działania.

Energia i wola życia Ukraińców wciąż pozytywnie zaskakują, ale martwię się o to, co będzie „potem”. Obawiam się, że wszyscy Ukraińcy będą przez wojnę bardzo mocno naznaczeni, wręcz pokiereszowani psychicznie. Pokażę tu rysunek, narysowany przez ośmiolatka na naszych zajęciach: to scena wojny, której szczegółowość przeraża – ludzie z karabinami, okopy, sanitariusze, rozbity samolot z pilotami, wybuchy, czołg… To wszystko w tym dziecku tkwi! Przypomina mi się „Raport z oblężonego miasta” Herberta: *„Z niejaką dumą pragnę donieść światu, że wyhodowaliśmy dzięki wojnie nową odmianę dzieci. Nasze dzieci nie lubią bajek – bawią się w zabijanie. Na jawie i we śnie marzą o zupie, chlebie i kości, zupełnie jak psy…*”. To straszne, jak po tylu latach te słowa znowu okazują się być prawdziwe.

Co oznacza dla Pani być Ukrainką?

MH: Być Ukrainką oznacza godnie reprezentować ten naród w Europie. Ludzie są różni, ale naszym zadaniem jest wystawiać swojej ojczyźnie dobre świadectwo. Dlatego – jakkolwiek banalnie to nie zabrzmi – jako Ukrainka chciałabym po prostu być dobrym człowiekiem.

Być Ukrainką oznacza też dla mnie nie wstydzić się swojego pochodzenia. Wspomniałam, że gdy byłam mała, moja ukraińskość wywoływała raczej zaciekawienie. Potem, jeszcze przed inwazją na Krym i Donbas, Rosja rozpoczęła propagandę informacyjną mającą na celu zdyskredytowanie Ukraińców w Polsce. I tak jak nikt nigdy nie miał z moją ukraińskością problemu, to w liceum nagle zaczęły się pojawiać prowokacyjne wątki – UPA, banderowcy itp. Wszyscy mnie o to wypytywali. A to tematy, które choć zawsze były obecne w narracji środowisk kresowych, to nigdy przedtem nie były tak „rozdmuchiwane” w mediach. Ukraińcy w Polsce zaczęli się mierzyć z przejawami wrogości. Wzmożona imigracja Ukraińców po 2014 roku tylko te nastroje pogłębiła. Wykonując pracę dla różnych instytucji często widzę, jak Ukraińcy są dyskryminowani, jak np. język staje się narzędziem bullingu. Każdy z nas pewnie doświadczył sytuacji, gdy Polacy traktowali pogardliwie czy wyższościowo kogoś, kto mówił ze wschodnim akcentem… To rzeczy, które wciąż dzieją się wokół nas. A ja zawsze chętnie wchodziłam i wchodzę z nimi w polemikę. Nie mam bariery językowej, która by mnie ograniczała i zawsze jestem gotowa „podyskutować” z przeciwnikami Ukraińców.

W czasach liceum chłopaki z mojej szkoły nagrali na Dzień Kobiet filmik z piosenką o koleżankach z klasy. Zwrotka o mnie zaczynała się od słów „Tylko Monia jedyna wie, gdzie leży Ukraina…” – podejrzewam więc, że już wtedy o Ukrainie mówiłam sporo. I o to tak naprawdę chodzi – aby pamiętać, mówić o Ukrainie, wspierać ją i być dumnym ze swojej ukraińskości.

Kolejny wywiad z cyklu "Krakowscy Ukraińcy - ukraińscy krakowianie" już wkrótce!

Wszystkie wywiady z cyklu dostępne TUTAJ